

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu

No2

DOMINIKA SŁOWIK

DOMINIKA SŁOWIK

SANATORIUM

Najpierw zaczęły znikać psy.

„Jakby zapadły się pod ziemię”,
mówili potem zrozpaczeni właściciele. „Na
chwilę tylko spuściłem go ze smyczy”.
„Musiał się zerwać, nawet nie zauważyłem”.
„Byłem w sklepie, pewnie ktoś ukradł”.

Cały Kazimierz obklejono ogłoszeniami.
Kiedy rano szliśmy z tatą do pracy, z każdej
latarni spoglądały na nas tęskniące psie oczy.

– Słyszała pani, że to podobno dżuma? Epidemia... – Szepnęła kobieta, która sprzedawała warzywa i owoce. Stałyśmy obok siebie przy Okrągliku od kilku lat, ale nie miałam pojęcia, jak się nazywa.

Roześmiałam się.

– Co pani opowiada? Jaka dżuma?

– No, dżuma. Dlatego psy znikają.

– Przecież to idiotyzm.

– Jak pani sobie chce – obraziła się. – Ale żeby nie było, że ja pani nie ostrzegałam.

Dochodziła szesnasta. Tata miał wrócić już dwie godziny temu. A jeśli znowu tam poszedł...? Zaraz trzeba będzie się pakować. Zaczęłam powoli zawijać filiżanki w szary papier. Filiżanki zwykle sprzedają się najlepiej. Zawsze mnie to dziwiło. Brzydziłabym się pić z takiej starej porcelany. Nie wiadomo czyjej.

Ojciec pojawił się dopiero, kiedy wózek z towarem był już załadowany.

– Partacze! – Wrzeszczał z daleka. – Zorientują się, kiedy będzie za późno!

– Znowu poszedłeś na komisariat?

– Powiedzieli mi, że turystów dużo, ulice szybko się zmieniają, więc ich nie poznaję. Idioci. – Skrzywił się. – Chcą ze mnie zrobić kretyna. Przecież ja za komuny piętnaście lat taksówką jeździłem! Znam to miasto na pamięć. Na pa-mięć! – powtórzył dobitnie. – Byłem dzisiaj sprawdzić kilka ulic. Tak jak myślałem. Nic się nie zgadza. Całe południe dzielnicy znika. Obudzimy się wszyscy z ręką w nocniku...! – Ojciec mówił tak głośno, że zaczynali już na nas zerkać zaciekawieni turyści. – Napisałem skargę, zaraz ci pokażę... – Sięgnął do kieszeni, ale w tym samym momencie rozległ się głośny dzwonek telefonu. Tata zamarł, wbijając wzrok w komórkę, która podskakiwała na blacie stołu. Nerwowo oblizał usta. Telefon nie przestawał wibrować.

- Znowu oni dzwonią? – zapytał cicho. Był bardzo blady.
- Nie, to pewnie jakiś akwizytor. – Pospiesznie schowałam komórkę do kieszeni.
- Pierwszy telefon odebrałam parę miesięcy temu.

- 2 -

- Chcielibyśmy wysłać pani tatę do sanatorium – odezwał się w słuchawce miły kobiecy głos.
- Do sanatorium?
- Tak, dostał przydział. Pani tata miał szczęście. Zwolniło się miejsce. Normalnie czeka się kilka lat. Nad morze.
- Nad morze?
- Tak, tak, nad morze. Tata widział kiedyś morze?
- Chyba widział – odpowiedziałam niepewnie.
- Ale takiego morza jak w tym roku to na pewno jeszcze nie widział!
- W tym roku, proszę pani, morze jest jak nigdy!
- Przepraszam... Ale skąd pani do mnie dzwoni?
- Z sanatorium.
- Skąd pani ma mój numer?
- W formularzu jest.
- W jakim formularzu?
- Co tata wypełniał.
- Tata coś wypełniał?
- Tak, formularz o sanatorium.
- To musi być jakaś pomyłka.
- Słyszysz pani jak morze szumi?
- Nie słyszę.
- Może ja za głośno mówię... – zmartwił się kobiecy głos. – A teraz? – dobiegł mnie ledwo słyszalny szept.
- Nie...

- Tego buczenia w słuchawce pani nie słyszy?
- Nie wiem... coś chyba buczy.
- No! To właśnie morze! – Ucieszył się głos.

Chociaż nie odbierałam już więcej telefonu, oni wciąż uporczywie dzwoniли.

Niedługo potem do naszego mieszkania zaczęły przychodzić listy. Wielkie koperty zaadresowane na mojego ojca. Listonosz z trudem mieścił je w skrzynce. Broszury reklamujące sanatorium, ulotki, kolorowe foldery, wszystkie pełne zdjęć morza. Chowałam je na dnie szafy, tak by ojciec ich nie widział.

W którymś z listów napisali, że jeśli tata chce, może przyjechać ze swoim pieskiem. Z Łajką. Skąd oni wiedzieli o Łajce? Dopiero wtedy naprawdę się przestraszyłam i zmieniłam numer. Telefon ucichł.

Ale listy wciąż przychodziły.

– 3 –

Jakby tego wszystkiego było mało, mniej więcej w tym samym czasie pojawiła się tamta klientka.

Ojca nie było przy stoisku. Jak zwykle czekał w kolejce na komisariatcie, żeby złożyć jakąś nową skargę.

Kobieta od razu zwróciła moją uwagę. Jej ubranie przypominało piżamę, na nagich stopach miała sportowe klapki. Stała niepewnie przy naszym stole. Podniosła plastikową broszkę i obracała ją w palcach, rozglądając się wokół. Wyglądała na zagubioną.

- Mogę pani jakoś pomóc? Kim pani jest?
- Ja...? Ja? – zmieszła się. – Ja ze Skawińskiej przyszłam.
- Ze Skawińskiej? Tam pani mieszka?
- Czy tam mieszkam? Nie, nie. Ja tam jestem... – zarumieniła się – tymczasowo. Tak. Tymczasowo.

Obciągnęła rękaw piżamy, który podwinął się, gdy gestykulowała.

Zdążyłam zobaczyć chorą, pomarszczoną skórę.

– Niech pani to sobie weźmie – wskazałam na broszkę, którą wciąż trzymała w dłoni. Chciałam, żeby już sobie poszła.

– Ale ja nie mam przy sobie pieniędzy. Wie pani, kieszeni nie mam – pogładziła ręką spodnie od piżamy. – Pieniądzy nie ma gdzie schować.

– Proszę wziąć, to prezent.

Uśmiechnęła się, przypinając sobie broszkę do kołnierzyka. Myślałam, że teraz wreszcie odejdzie, ale ona spoglądała na mnie w zamyśleniu.

– Nas tam smarują. – Wyznała nagle, jakby czuła, że powinna w jakiś sposób zrewanżować się za podarunek. – Całych. Robimy się potem biali od maści. Mówią, że to leczy. Ale tak naprawdę robią to dlatego, żeby nas było lepiej widać – zaśmiała się. – Jakby nas nie smarowali, toby nas potem nie mogli znaleźć!

Ze zdziwieniem zauważyłam, że w ciągu następnych dni pacjentów było coraz więcej. W piżamach, w szlafrokach, w koszulach nocnych, starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni. Czasem w bandażach, w opatrunkach, w okładach z tłustych kremów. Jakby naprawdę lekarze chcieli tą bielą zamaskować powolne znikanie ciał swoich podopiecznych.

Wszyscy przychodzili ze szpitala dermatologicznego na Skawińskiej.

W końcu to tylko kilka ulic dalej, uspokajałam samą siebie. Przecież nikt ich tam nie pilnuje. Dorośli ludzie. Mogą wychodzić, kiedy chcą. Badania do piętnastej, a czasem nawet i to nie, a potem...?

Znudzeni leżeniem w łóżku, z plastrami wenflonów na dłoniach, błądzili więc po ulicach Kazimierza, plątali się po placu Nowym, niektórzy siadali nawet przy kawiarnianych stolikach i zamawiali kawę. Pili ją potem bardzo, bardzo wolno.

Jednak gdy pewnego dnia w ogródku dokładnie naprzeciw naszego stoiska pacjent pokryty dziwnymi, łuskowatymi liszajami wypił trzy kawy pod rząd, nie wytrzymałam. Podeszłam do znajomego kelnera,

który zbierał opróżnione filiżanki z pustego już stolika.

- Czemu ci pacjenci tu tak chodzą?
 - Chodzą to chodzą. Co mają nie chodzić?
 - I tak z tych szklanek piją? Z filiżanek?
 - A z czego mają pić? – spojrzał na mnie zdziwiony.
 - Ale oni nie zarażają?
 - Zarażają? A czym?
- Pokręciłam bezradnie głową.
- Nie wiem.
 - Kawę pani podać? – rzucił kelner wyraźnie już zniecierpliwiony.
 - Nie, dziękuję.
 - Jak pani chce.

Odszedł, balansując zręcznie tacą, ale widziałam, że będąc już przy barze, dyskretnie wytarł o spodnie dłoń, którą przed chwilą zbierał puste filiżanki.

- 4 -

Ojciec stawał się coraz bardziej nerwowy.

- Otoczyli nas kordonem – oznajmił mi któregoś dnia.
 - Jakim kordonem, tato? Co ty opowiadasz? – odpowiedziałam nie uważnie, poprawiając rozrzucone przez turystów stare widokówki.
 - Sanitarnym.
- Spojrzałam na niego zmartwiona.
- Tato, nie ma żadnego kordonu.
 - Jesteśmy odcięci – zacisnął usta.
 - Od czego odcięci?
 - Od miasta. Od północy, od wschodu. Zostały jeszcze tylko mosty nad Wisłą. Ale to też niedługo zamkną. Zamkną mosty – podniósł palec w górę, jakby dla podkreślenia własnych słów. – I to będzie koniec.

– Byłam wczoraj w urzędzie przy rondzie Mogiłskim. Nic nie jest zamknięte. – Poczułam się nagle strasznie zmęczona.

– Wczoraj jeszcze nie było. Spróbuj dzisiaj wyjść. Nie wyjdiesz. Nie pozwolą ci. – Zniżył głos do szeptu: – Oni chcą zalać to wodą.

– Co zalać wodą, tato?

– Dietla, dziecko. Jak dawniej. Dietla. Ty tego nie pamiętasz, ale tam kiedyś Wisła płynęła. – Oczy mu błyszczały, jakby miał gorączkę.

– Ty też nie pamiętasz.

Od kilku dni było z nim gorzej. Bezustannie się gubił, a winę zwał na rzekomo znikające z map ulice, place i zaułki. „Cała dzielnica ginie” – powtarzał i nikt nie był mu w stanie wytłumaczyć, że nie ma racji.

– Znów była tu policja – odezwałam się.

– Czego chcieli?

– Powiedzieli, żebyś więcej nie przychodził. Przeszkadzasz im w pracy. Że inaczej będą musieli wdrożyć procedury.

– Jakie procedury? – Ojciec wydawał się zaniepokojony.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Jakieś. Może mandat. Albo grzywna.

– Przepraszam...

Odwróciliśmy się gwałtownie.

– ... czy pani sprzedawała tego lisa? On gryzie.

Przed naszym stoiskiem stał elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku. W dłoniach trzymał lisie futro. Spoglądałam zdziwiona na rozarty pyszczek i szklane oczy.

– Proszę pani, takich rzeczy sprzedawać nie wolno – mężczyzna był wyraźnie zirytowany. – Stare, brudne, roznosi zarazki, bakterie! Potem pacjenci mi to wnoszą! My mamy przecież pacjentów w izolatkach, mamy sterylność... a tu takie historie!

Aha, lekarz, dopiero teraz zauważyłam stetoskop wystający z kieszeni spodni.

– Nie sprzedawałam żadnego lisa. Tato, sprzedawałeś lisa?

DOMINIKA SŁOWIK

- Może sprzedawałem – wzruszył ramionami. – Nie pamiętam.
- Proszę to sobie zabrać. – Lekarz wycelował otwartym lisim pyskiem w moją twarz.
- Nie dostanie pan zwrotu pieniędzy.
- Nieważne. – Skrzywił się z obrzydzeniem i rzucił futro pomiędzy menory i klasery z monetami. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął z uwagą wycierać dłonie. Patrzyłam, jak powoli czyści z niewidzialnego brudu kolejne palce.
- Czemu ci pacjenci od was wychodzą?
- Słucham? – odpowiedział nieważnie, nie podnosząc głowy.
- Czemu oni tu przychodzą? – powtórzyłam.
- Gdzie?
- No tu. Do nas.
- Blisko mają, to przychodzą. Nudzi im się.
- Ale czy to... bezpieczne?
- Pani to tylko o sobie myśli – lekarz spojrział na mnie z wyrzutem.

- 5 -

Kłamałam.

Doskonale wiedziałam, o jakie procedury chodziło policjantom.

Przyszli rano, kiedy na placu Nowym było jeszcze niewielu turystów. Znałam ich dość dobrze, pracowali w Pierwszym Komisariacie. Czasem miło zagadywali, patrolując dzielnicę. Tym razem też byli bardzo uprzejmi. Nie chcą się wtrącać, ale z tatą trzeba wreszcie coś zrobić. Oni nie życzą nikomu źle, to się już jednak wymyka z rąk, nachodzi ich niemal codziennie, nie pozwala pracować, oni nie chcą, ale niedługo nie pozostawię im wyboru, będą zmuszeni wezwać służby...

Kiwałam bezradnie głową. Tak, zajmę się tym, tak, przypilnuję go lepiej, tak, poszukamy jakiegoś lekarza.

Wreszcie zostawili mnie w spokoju. Ruszyli na dalszy patrol. Byli już

na rogu placu, kiedy jeden z nich nagle zawrócił, jakby mu się coś przypomniało.

– Słyszeliśmy, że tata dostał turnus w sanatorium. – Nachylił się poufale nad naszym stoiskiem.

Zamarłam. Skąd wiedzą?

– To by mu dobrze zrobiło – dodał z troską. – Trzeba tam tatę wysłać. Do sanatorium. Tak, sanatorium byłoby najlepsze. Możemy pomóc tatę odwiedzić.

– Odwieźć? Ale to podobno daleko.

– Daleko? Nie, całkiem blisko... – Policjant nagle urwał, wyraźnie zmieszany. – To znaczy, tak tylko słyszałem od kogoś.

Zasalutował służbowo i pospiesznie ruszył za znikającym w ulicy Warszawiera kolegą.

– 6 –

Nie wiedziałam, co robić. Tata stawał się coraz bardziej niespokojny, tłumy pacjentów wypełniały ulice, a broszur reklamowych zdawało się przychodzić pocztą jeszcze więcej niż zwykle. Z trudem nadażałam z wyjmowaniem ich ze skrzynki, tak żeby ojciec niczego nie zauważył. To już nie były koperty, to były całe paczki wypchane zdjęciami bezkresnego morza.

A potem tata całkiem się rozchorował.

Byłam w domu, gdy zadzwonili. Nie wiem, skąd mieli numer.

– Proszę przyjść po ojca. – W słuchawce rozległ się znajomy męski głos. Kelner z pobliskiej kawiarni. – Odstrasza klientów.

Tata siedział w kawiarnianym ogródku, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Zaciskał dłonie na czymś niewidzialnym.

– Dokąd chcieliby państwo jechać? – Pytał wszystkich, którzy siadali na krzesłach obok. Klienci spoglądali na niego nerwowo i szybko zmieniali stolik.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

DOMINIKA SŁOWIK

– Wiesz... wydaje mi się, że znowu jestem taksówkarzem. – Podniósł na mnie zmęczony wzrok. – I jeszcze wyszło mi to... – Oderwał rękę od niewidzialnej kierownicy. Na skórze przedramienia miał dziwne pomarszczone plamy.

– Tato, to tylko jakaś wysypka. – Dotknęłam jego czoła. Było rozpalone.
– Nie, dziecko. – Potrząsnął poważnie głową. – Ja też zacząłem znikać.

Od tej pory ojciec nie przychodził już ze mną na stragan. Codziennie sama ciągnęłam wózek na plac Nowy, a potem rozkładałam ostrożnie przedmioty, jeden obok drugiego, zanim pojawili się pierwsi turyści.

Kelner z kawiarni dał mi numer do znajomego lekarza. Podobno brał tania za wizytę, a my przecież nie mieliśmy ubezpieczenia. Zadzwoiłam. Lekarz nie miał czasu, wypytał tylko o symptomy, kazał podawać wapno do picia i coś na gorączkę, a jeśli się nie poprawi, zadzwonić znowu.

Rano zostawiałam tatę w łóżku, ale gdy po południu wracałam, siedział już na krześle z dłońmi zaciśniętymi na nieistniejącej kierownicy i pokonywał długie trasy swoją taksówką. Wierna Łajka leżała grzecznie u jego stóp, z posiwiąłym pyskiem na łapach, trochę z boku, tak by nie zahaczał jej stopą, gdy wciskał niewidzialne pedały gazu, sprzęgła, hamulca. Na początku brałam ojca za rękę, zmuszałam, żeby się położył, przykrywałam dokładnie, po samą brodę kołdrą, ale on nie mógł zasnąć, widziałam, że szklistymi oczami, prawie nie mrugając, wpatrywał się w sufit, więc wreszcie dałam za wygraną i siadałam po prostu na krześle obok niego, w fotelu pasażera.

Jechaliśmy tak razem, przez noc, w długą, daleką podróż.

– 7 –

Z czasem ojciec jeździł taksówką coraz rzadziej, trasy były coraz krótsze, gorączka zaczęła ustępować. Myślałam, że zdrowieje.

Wtedy zaczął zastawiać pułapki na ćmy.

Otwierał nocą okna na oścież, zapalał światło, odsuwał firanki, a potem łapał zdezorientowane, ociężałe owady do szklanek, słoików, kubków. Stawiał naczynia do góry dnem, wypełnione były szafki, cały stół, nawet podłoga, a uwięzione ćmy wściekle furkotały skrzydłami, setki, tysiące owadów obijały się o szkło, wypełniając całe mieszkanie obrzydliwym grzechotem. Z jakiegoś powodu bawiło to ojca, nauczył nawet Łajkę, że nie wolno tych słoików ruszać, suka warowała więc nerwowo, oblizywała pysk, ale posłusznie leżała, choć widać było, jak wiele ją to kosztuje.

Na początku próbowałam zamykać okno, ale ojciec dostawał wtedy ataku hysterii, krzyczał, że brakuje mu tchu, że zaraz się udusi, zaczynał sinieć, więc pokonana otwierałam znów okno na oścież, a moje ciało otulał miękki, obrzydliwy dotyk owadzich skrzydeł.

– To nas uratuje! To nas ocali! – mamrotał tata, rozstawiając na podłodze kolejne szklanki z uwięzionymi w nich ćmami.

Dźwięk nie ustawał nawet późno w nocy. Dopiero po kilku dniach nauczyłam się zasypiać w tej dziwacznej kakofonii.

Jednak któregoś razu, gdy jak zwykle wróciłam zmęczona po pracy, mieszkanie było puste. Ani taty, ani Łajki. Tylko te dziwne, białe ćmy w słoikach. Nigdy wcześniej nie widziałam takich owadów, pomyślałam.

Wyrzałam przez okno na podwórko. Nikogo. Pewnie ojciec wyszedł na chwilę, a teraz nie wie, jak trafić do domu. Trzeba iść go poszukać.

– Mówiłem, żeby nie nazywać psa Łajka...! – rozległ się nagle nerwowy krzyk. Tata stał w progu ze zwiniętą smyczą w dłoni. – To zła wróżba tak psu na imię dać!

– Uciekła ci...?

– Nie... nie wiem – głos mu się załamał. – Nie ma jej...

Szukałam Łajki kilka godzin.

Wróciłam dopiero, kiedy ze zmęczenia pogubiłam się na dobrze mi przecież znanych ulicach. Gdy wchodziłam po schodach naszej ka-

mienicy, zauważyłam, że smycz rozwinęła się i zwisa z tylnej kieszeni moich dżinsów, jakbym prowadziła ze sobą jakiegoś niewidzialnego psa.

– Nie znajdziesz jej. Ona już jest tam – ojciec wskazał palcem na sufit. Wydawał się spokojniejszy.

– W niebie? – Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Nie, na Księżycu. Łajka wróciła tam, gdzie jej miejsce.

– 8 –

Rano przed pracą rozwiesiłam na całym Kazimierzu ogłoszenia ze zdjęciem Łajki i moim numerem telefonu. Przecież to mądry pies. Pewnie się czegoś po prostu przestraszyła. Nie mogła uciec daleko, powtarzałam sobie w myślach, wykładając towar.

– Piesek pani zginął? – Do stoiska podszedł jakiś młody chłopak w piżamie.

Zignorowałam go.

– O, a ten lis to mnie raz ugryzł – wskazał palcem na futro, które kilka tygodni temu przyniósł lekarz. – Nikt go jeszcze nie kupił?

Podniosłam głowę zdziwiona.

– Nie poznała mnie pani...! – Dopiero teraz zauważyłam plastikową broszkę przy kołnierzyku. Obok na szyi widniały dziwne ślady, podobne trochę do śladów zębów. – Ogolili mnie. Krosty się we włosach robiły. – Wyjaśniła pacjentka, przejeżdżając ręką po pokrytej ciemnym meszkiem czaszce. – Mówią, że to dla zdrowia. Że jakby nie ogolili, toby i tak wypadły. – Roześmiała się.

Milczałam.

– Wie pani, tatuaż sobie chciałam zrobić. Na rękę. Ale doktor nie pozwala. Mówi, że skóra nie wytrzyma. A może pani zna jakiegoś dobrego tatuażystę? Co by się podjął?

– Jak długo już tam pani jest? – Zapytałam ją nagle.

– Jak długo? – Chrząknęła zakłopotana. – Nie jestem pewna. Chyba niedługo. No ileż ja tam mogę być...?

Ze stolika kawiarni naprzeciwko z głośnym krzykiem zerwał się jakiś turysta. Serwetką wycierał spodnie z plamy po gorącej kawie. Na stole leżały skorupy filiżanki.

– Ojej. Kubeczki się pani rozbiły – usłyszałam zmartwiony głos pacjentki. Spojrzałam na stragan. Nasze stoisko zaślane było kawałkami szkła.

Dopiero później dowiedziałam się, że tamtego dnia szklanki popękały na całym Kazimierzu.

Kiedy po południu wróciłam do domu,śmy zasnuwały mieszkanie.

Przy łóżku piętrzyła się barykada przedmiotów, jakby ojciec układał w pośpiechu dziwaczny wał obronny ze wszystkiego, co znalazł pod ręką. Były tam książki, naczynia, ubrania, sporo antyków przeznaczonych na sprzedaż.

Tata siedział nieruchomo przy stole i palił papierosa. Skąd on w ogóle wziął papierosy? Nie palił przecież od wielu lat, odkąd sprzedawał taksówkę. Wykonywał ledwie dostrzegalny ruch dłonią, na kilka milimetrów odsuwał papierosa do warg, a potem przysuwał go z powrotem.

Białeśmy łąziły mu po twarzy, wokół ust, po czole, pełzały po policzkach, po rękach, siedziały na ramionach, a on zdawał się tego zupełnie nie zauważać. Ledwie go było spod tej chmary owadów widać.

Pod nogami chrzęściła gruba warstwa rozbitego szkła.

– 9 –

Zadzwoeniłam do lekarza. Tym razem zgodził się przyjść.

Gdy pojawił się w progu mieszkania, właściwie bez zdziwienia odkryłam, że to ten sam lekarz, który kilka tygodni temu przyszedł nam oddać futro lisa. Tym razem na eleganckie ubranie narzucił białą fartuch.

DOMINIKA SŁOWIK

Pospiesznie zbadał tatę, zajrzał mu do gardła, osłuchał klatkę piersiową. Ojciec nie reagował, tępo wpatrywał się w sufit. Lekarz wyjął z kieszeni bloczek i zaczął wypisywać receptę.

– Na co tata choruje?

– Stary jest – wzruszył ramionami, nie przestając pisać.

– Ale czemu przestał mówić? – Od wczoraj, od wypadku ze szkłem nie wypowiedział ani słowa.

– Jakby chciał, toby mówił. – Wręczył mi wypisaną receptę. – No, nic tacie nie będzie. Proszę kupić to lekarstwo i podawać dwa razy dziennie.

– A epidemia...?

– Jaka epidemia?

– Podobno jest epidemia na mieście. – Zarumieniłam się. – Czy to... dżuma?

– Dżuma? – roześmiał się lekarz. – Chyba się pani za dużo książek naczytała – spojrzał wymownie na przepelniony regał. – To alergię.

– Alergie?

Kiwnął głową.

– Uczulenie.

– Ale na co?

– Na co? Na wszystko, proszę pani, na wszystko – roztoczył wokół dłonią. Nagle jego wzrok padł na przedramię ojca, które w trakcie badania wysunęło się spod kołdry.

– A co on ma tutaj na skórze?

– Coś go chyba pogryzło – pospiesznie przykryłam rękę taty poduszką. – Wczoraj ćmy wleciały, może od tego.

– To ciekawe... Ćmy? – wymamrotał lekarz. Odsunął poduszkę i zbliżył rękę taty do oczu. Wpatrywał się w nią dobrych kilka minut, z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Tatę trzeba zabrać na Skawińską – oznajmił wreszcie.

– Słucham?

– Na Skawińską. Do szpitala.

- Nie – pokręciłam przestraszona głową. – Wolałabym nie.
- To jak to sobie pani wyobraża? Proszę spojrzeć, jaki tata chudy. Znika. Znika w oczach. – Dodał z naciskiem.

Milczałam.

I wtedy przepelniona szafa otworzyła się powoli, a na podłogę wypadło kilka ulotek. Czemu niczym nie podparłam tych drzwi? Wiedziałam przecież, że obluźowane zawiasy wreszcie kiedyś ustąpią pod naporem paczek z broszurami.

- Nie powiedziała pani, że tata ma załatwione sanatorium – lekarz spojrzął na mnie surowo. – Sanatorium świetnie by ojcu zrobiło. Lepiej nawet niż szpital. I jeszcze nad morzem! Pani chyba nie chce dla taty dobrze.

Oczywiście jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił telefon. Nie chciałam odbierać, ale to przecież mógł dzwonić ktoś, kto odnalazł Łajkę...

- Dzień dobry! – odezwał się w słuchawce znajomy kobiecy głos.

- Skąd pani ma ten numer?

- Nie rozumiem.

- Zmieniłam telefon, a pani dalej do mnie dzwoni.

- Tak? – głos wyraził uprzejme zdziwienie.

- Skąd pani ma ten numer!? – krzyknęłam.

Milczenie w słuchawce trwało kilka sekund.

- Z ogłoszenia.

- Z ogłoszenia...?

- Piesek już u nas jest.

- Macie naszego psa?!

- Tak! – wyraźnie ucieszył się głos.

- Zabraliście Łajkę???

- Nie, nie, piesek sam do nas trafił. Już był najwyższy czas.

Z trudem powstrzymywałam płacz.

- Proszę pani, halo? Jest tam pani? Trzeba się spieszyć. Dzwonię, żeby przekazać: plaża niedługo zniknie. – Głos chrząknął z zakłopotaniem... –

Morze ją zabiera. Szkoda by było, jakby tata nie zdążył plaży zobaczyć. To piękna plaża...

Przerwałam połączenie.

– 10 –

Kobieta ze straganu z warzywami rzucała mi ciekawskie spojrzenia. Nigdy się nie spóźniałam. A dzisiaj otwierałam stoisko aż pół godziny po czasie.

– Co, zasnęła pani pewnie?

Milczałam, powoli odwijając brezent, który przykrywał wózek z towarami. Musiałam dać tacie rano lekarstwo. Bardzo długo nie chciał połyknąć tabletki. Głaskałam go po gardle jak psa.

– Albo przez te mosty? – Kobieta nie dawała za wygraną.

– Słucham?

– Śnieg pada na mostach, nie słyszała pani?

– Śnieg? Przecież jest lipiec.

– A co ja mam panią kłamać? Śnieg pada. Sama widziałam. Jak pani nie chce wierzyć, to niech pani nie wierzy... – obruszyła się, ale nie słyszałam już jej dalszych słów.

Biegłam w stronę Wisły.

– Naprawdę śnieg... – wyszeptalam oszołomiona, patrząc na białą kurzawą pochłaniającą kładkę. Tata mówił o mostach. Ostrzegął.

– To nie śnieg – odezwał się jeden z gromadzących się na brzegu gapiów. – To jętki. Jętki jednodniówki.

– Takie owady. Wyroiły się.

– One żyją tylko jeden dzień. Jak spadną na drogę, to jakby się w lód zamieniały, tak jest ślisko.

– Człowiek mógłby pomyśleć, że jest w środku prawdziwej śnieżycy – ktoś w tłumie się roześmiał.

– Światło je przyciąga. W nocy.

– Mosty trzeba zamknąć. Będą objazdy. Na południe miasta to pani teraz nie pojedzie.

– Dziwne, że to tutaj. Mówią, że one tylko przy czystej wodzie. A gdzie tam Wisła czysta. Skąd one się wzięły?

Wiedziałam doskonale, skąd się wzięły. Z rozbitych słoików mojego ojca.

– 11 –

Drzwi do domu zastałam lekko uchylone. Nie zdziwiło mnie to. Już tam, przez moście, zrozumiałam, co się wydarzy.

Mieszkanie było puste. Na poduszce widziałam jeszcze niewyraźne odbicie głowy taty. Materiał prostował się powoli. Ślad po czaszce ojca wypełniał się bielą.

Nie wiem, skąd tata brał przedmioty, które sprzedawaliśmy. To on je zawsze gromadził. A teraz rzeczy się kończą. Długo, bardzo długo nie ruszałam barykady, którą resztkami sił ustawił przy łóżku. Ale nie mam już wyboru. Wszystko inne się sprzedało. Wyjmuję więc przedmioty z tej dziwacznej zapory powoli, jeden po drugim, tyle tylko, żeby przeżyć. Ale tama jest coraz niższa, niedługo całkiem zniknie. A potem nic nas już nie ochroni.

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zablądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliliśmy O_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Zaprosiliśmy do współpracy trójkę pisarzy: Weronikę Murek, Łukasza Orbitowskiego i Dominikę Słowik, oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jak bazę, punkt startowy.

Dominika Słowik – urodzona w 1988 w Jaworznie, od 2007 związana jest z Krakowem. W 2015 nakładem Wydawnictwa Znak ukazała się jej debiutancka powieść *Atlas: Doppelgänger* (nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia). Laureтка Stypendium Twórczego Miasta Krakowa oraz stypendium Praha Město Literatury. Obecnie pracuje nad drugą książką.

Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

Cheder, kawiarnia i dom kultury FKŻ, ul. Józefa 36, Kraków
www.cheder.pl, [fb:cheder.krakow](https://www.facebook.com/cheder.krakow)

Projekt jest
współfinansowany
ze środków Gminy
Miejskiej Kraków.



krakow
CITY OF LITERATURE
UNESCO

Organizatorzy:

ТТТ
CHEDER



Partnerzy
medialni:

GAZETA
wyborcza

**RADIO
KRAKÓW**

ISBN 978-83-938285-7-9